

**Kto wyłączy
mój mózg?**

Joanna Opiat-Bojarska

Kto wyłączy mój mózg?

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Copyright © by Joanna Opiat-Bojarska, 2011
All rights reserved

Redaktor
Witold Kowalczyk

Projekt okładki i stron tytułowych
Olga Reszelska

Fotografia na okładce
Boris Zatserkovnyy

Skład i łamanie
„ELAN” Tamara Przybyesz

Wydanie I

ISBN 978-83-7506-913-6

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67, faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Padać boleśnie i znów się podnosić, (...)
Oto jest życie: nic, a jakże dosyć...

Leopold Staff, *Kochać i tracić...*

Środek nocy. Leżę w łóżku. Półmrok. Wąski strumień światła dochodzi z za przymkniętych drzwi. Chce mi się spać. Nic dziwnego, połknęłam przecież wieczorem końską dawkę środka nasennego. Ile razy podczas snu zmieniamy pozycję? Pięć? Dziesięć? Dwadzieścia? Ja budzę się co półtorej godziny. Czuję, że muszę wyprostować nogę. Najpierw usiłuję zignorować to uczucie, ale po kilku minutach wydaje mi się, że zwariuję, jeśli jej nie wyprostuję. Wołam pielęgniarkę.

— Sioostrooo!

Panie leżące w mojej sali przestają na chwilę chrapać, jedna z nich przewraca się na drugą stronę. Czekam. Jest ciemno i cicho, nie słychać niczych kroków.

— Sioostrooo!

Znów mija kilka minut. Ja leżę. Po twarzy zaczynają mi płynąć łzy. Ciekawe, która jest godzina.

— Sioostro!

Staram się tłumaczyć sobie, że od skurczu nikt nie umarł. Prędzej czy później ktoś do mnie przyjdzie.

— Sioostro... — wołam coraz ciszej, łykając łzy.

Na łóżku pod oknem budzi się sąsiadka.

— Zadzwoń po pielęgniarkę?

— Tak, poproszę — mówię zawstydzona.

Przy moim łóżku też jest przycisk przywołujący pie-

lęgniarkę. Zwisa koło poduszki. Nawet jeśli uda mi się złapać kabelek z przyciskiem, nawet jeśli dotknę ręką przycisku, to nie jestem w stanie go wdusić. A przecież do tego nie potrzeba dużo siły... Jestem beznadziejna. Mam siebie dość. Najprostsze czynności są dla mnie niewykonalne. Chciałabym, żeby to był tylko sen. Koszmar. Chciałabym przestać istnieć.

Do pokoju wpada światło z korytarza. Wchodzi pielęgniarka.

— Kto znowu mnie woła? — pyta niezadowolona.

— Ja — mówię cicho.

Nie wiem, czy powinnam odpowiadać na to pytanie, pielęgniarka wie dokładnie, kto co półtorej godziny zwraca jej głowę.

— Czy może mnie pani przewrócić na bok?

— Znowu? — pyta i robi wredną minę. — Koleżanka jest zajęta, a ja nie wiem, czy sama dam radę.

Nie potrafię zrozumieć, dlaczego przewrócenie wychudłego, 56-kilogramowego ciała sprawia jej taki problem. Najchętniej nie patrzyłabym na jej miny. Ale jeśli ona mi nie pomoże, to kto? Czy proszę o tak wiele? Czy zawsze będę prosić się o pomoc? Czy to, że leżę na oddziale neurologicznym, znaczy, że przestałam być człowiekiem? Jestem tylko kupą kłopotliwego, sparaliżowanego cielska. Czy ktoś może wyłączyć mój mózg?



Choroba? Wystarczy pójść do dobrego lekarza. Wykupić lekarstwa. Wyzdrowieć. Co za problem? Leżenie tygo-

dniami w łóżku to nie dla mnie. Ja nie mam na to czasu. Wolę pracować. Przechodzę koło młodego chłopaka proszącego o drobne na dworcu PKP. Odwracam głowę w drugą stronę. Według mnie wyciąganie rąk po cudze pieniądze jest szczytem bezczelności. Poszukiwanie wymówek zamiast ciężkiej pracy.

Człowiek na wózku inwalidzkim? To zwyczajny człowiek. Pracowałam kiedyś z takim jednym facetem. Siedział przy biurku w salonie samochodowym. Był miły, miał poczucie humoru. Owszem, nie chodził, ale ze wszystkim innym radził sobie bardzo dobrze. Byłam wtedy młoda. Tolerancyjna. Jakoś zawsze uważałam, że najłatwiej jest usiąść i płakać, że ma się problem, bo jest się niepełnosprawnym.

Później nie miałam kontaktu z niepełnosprawnością. Poznawałam za to naturę człowieka. Homo biznesus. Jak zmienia zdanie, kłamie, oszukuje, unika, wymyśla, żeby tylko zarobić. Jak mówi jedno, a robi zupełnie coś innego.

Cały świat leżał w zasięgu mojej ręki. Nikt mi go nie podał na tacy. Nie prosiłam o pomoc. Ale wiedziałam, że jeśli będę ciężko pracować, to zrealizuję swoje marzenia. Sama.



Mam katar i kaszel. Kiepsko się czuję. Leżę w łóżku. Udało mi się wyrwać z pracy na dwa dni. Ktoś przywłókł do domu paskudne bakterie. Kaszle też moja córka, kaszle mój mąż.

— Wiesz, chyba zostanę w domu — mówi mąż. — Czuję się masakrycznie.

Ktoś musi pracować, ktoś musi podać obiad... Więc idę do pracy. Nie mam przecież zapalenia płuc. To tylko grypa. Nie pierwsza i nie ostatnia. Nie mam czasu, żeby użalać się nad sobą. Na kaszel się nie umiera. Potrwa pewnie z tydzień.

— Kiepsko wyglądasz — mówi moja przyjaciółka Monika.

— Wiem — przytakuję. — Ostatnio źle się czuję.

— A dokładniej?

— Ciągle jestem zmęczona, ciągle przeziębiona, podenerwowana. Bolą mnie plecy. Jest mi niedobrze. Nie mam czasu ani ochoty na radość.

— Aśka, tak być nie może!

— Wiem, wiem, coś z tym zrobię... Ale na razie nie mam ani czasu, ani siły.

Później. To moje ulubione słowo.

Odbieram telefon od mojej mamy.

— Dziecko, jesteś chora, połóż się do łóżka, wygrzej się.

— Ale, mamo — bronię się — ja nie mogę, kto będzie za mnie pracował? Kto zrobi obiad? Zakupy? Kto poda herbatę choremu mężowi?

Wymówki mieszają się z rzeczywistością. Bo kto teraz kładzie się do łóżka z bolącym gardłem? Albo kaszlem? Nie ma na to czasu. Wszyscy gonimy za pieniądzem, za sukcesem, byle szybciej, byle więcej.

Chwilę później zaczynają boleć mnie plecy. Ale trochę inaczej niż zwykle. Po dwóch dniach jakoś tak dziwnie wstawało mi się od stołu.

Budzę się we wtorek rano. Cholera, jest naprawdę źle.
Z trudem wstaję z łóżka.

„Co się ze mną dzieje?” — myślę przerażona.

Nie mogę podnieść nogi, żeby nałożyć spodnie. Pomaga mi Mateusz. Spodnie, skarpetki, buty. Jedziemy prosto do neurologa.

Pani neurolog w prywatnej klinice bada mnie. Puka. Dotyka.

— Dobrze, dobrze — mówi — dobrze. Proszę się położyć, uniosę pani nogi, proszę je trzymać w górze tak długo, jak się da.

Siłą woli próbuję je utrzymać, niestety, opadają zaraz po uniesieniu.

— Dobrze.

„Kurczę — myślę. — Dobrze? Przecież ledwo doszłam o własnych siłach do gabinetu”.

Lekarka kończy badanie.

— Przyszła pani sama?

— Nie, z mężem.

— To ja może poproszę męża — proponuje lekarka.

Czuję, że nie jest dobrze.

— Jest pani w bardzo złym stanie. Proszę jechać prosto do szpitala — mówi lekarka. — Jest źle.

Widać, że jest przejęta. Patrzy na nas badawczo. Ręce jej się trzęsą, głos zaczyna drżeć. Czuję jej przerażenie. Tłumaczę je sobie tym, że może nie ma doświadczenia. Może pracując w prywatnej klinice, przyjmuje głównie pacjentów z niewielkimi dolegliwościami. Aż tu nagle przywlekam się ja... Nie mogę unieść nogi, nie mam odruchów głębokich.

Cóż. Panicznie boję się szpitala. Resztką rozumu podpowiada mi jednak, że sprawa jest zbyt poważna na łęki, histerie i wymyślania. Trzeba jechać.

„Jak będzie trzeba, to wytrzymam tam ze trzy dni. Będę dzielna” — postanawiam ze łzami w oczach.

Jedziemy na ostry dyżur neurologiczny. Szpital państwowy. Wszyscy mają czas. Lekarza nie ma. Siedzę w poczekalni, na krzeselku pod gabinetem. Czuję się coraz słabsza. Ludzi przybywa. Mam wrażenie, że dziwnie się na mnie patrzą.

W końcu wchodzę do gabinetu. Wchodzę, to chyba za dużo powiedziane. Szur, szur, szuram nogami. Lekarz beznamiętnie ogląda moje słabnące ciało.

— Przyjmujemy panią na oddział — bąka, nie przerywając sobie wypisywania dokumentów.

Jeszcze na izbie zakładają mi wenflon. Pielęgniarkę każe mi zdjąć kozaki. Próbuję dosięgnąć nóg.

— Sorry, ale nie dam rady.

Młody chłopak zdejmuje mi buty, rozpina spodnie do badania, zdejmuje bluzkę, żeby założyć wenflon.

— Na oddziale pobiorą pani płyn mózgowo-rdzeniowy, on potwierdzi diagnozę — cedzi przez zęby lekarz.

— Ale co to może być? — słyszę siebie.

Okropnie się stresuję. Pytam, chociaż tak naprawdę odpowiedź wcale mnie teraz nie obchodzi. W tym momencie najważniejsze jest dla mnie to, by jak najszybciej wrócić do domu! Nie chcę zostać tu sama!

— To najprawdopodobniej zespół Guillaina-Barrégo. Bardzo poważne schorzenie.

— A kiedy wyjdę do domu?

— Proszę się uzbroić w cierpliwość.

Cholera. Chyba nie ma mniej konkretnej odpowiedzi.

— Ale jak długo będę musiała tu zostać? — pytam, bo podstawowym problemem w tym momencie dla mnie jest konieczność pozostania w szpitalu.

— Trudno powiedzieć, to zależy od organizmu...

— Niech mi pan powie — napieram ostatkiem sił.
— Trzy dni? Tydzień?

— Przynajmniej trzy miesiące, a potem czeka panią jeszcze długa rehabilitacja — lekarz rzuca na odczepne, po czym otwiera drzwi gabinetu i woła następnego pacjenta.

W tym momencie mój świat legł w gruzach. Z trzech dni zrobią się trzy miesiące? Bez mojego Mateusza, bez kochanej córeczki, bez pracy? W obcym miejscu, z obcymi ludźmi. Nigdy. Uciekłabym, gdybym tylko mogła biec...



...jeśli biegi, to na długi dystans. Nigdy nie byłam dobra na sześćdziesiąt metrów. Zanim wrzucę piąty bieg, przekraczam metę. Osiemset metrów to co innego. W pewnym momencie trzeba wyłączyć kanały komunikacji mięśni i mózgu i można już biec do końca świata. Choć znacznie bardziej od biegania wolę jazdę na rowerze.

Uwielbiam to uczucie. Wiatr rozwiewa moje włosy. Miło ochładza moją rozpaloną twarz. Gdzieś w górze

świeci słońce. Przede mną przestrzeń. Pola, lasy i wąska asfaltowa droga. Pusta. Prosta. Szkoda, że nie mam prędkościomierza. Jadę na rowerze. Właściwie frunę. Ogromna prędkość wytworzona siłą moich mięśni. Nikt mnie nie zatrzyma.

— Uważaj, nie tak szybko — gdzieś z tyłu dochodzi mnie głos Mateusza. Wtedy jeszcze nie jest kochanym Mateuszem. Jest po prostu kolegą.

Widzę górkę. Zaczynam pedałowac jeszcze szybciej. Zaczekam na niego za górką. Moje mięśnie już ledwo zipią. Buntują się, wysyłając bolesne sygnały do mojego mózgu.

„Cicho tam! — krzyczy mój mózg. — Ja tu rządę. Chcę jechać długo i szybko. Nie marudzić, tylko pracować”.

— Kurczę, chyba czas na przerwę — mówi Mateusz, gdy mijamy wiejski sklepik spożywczy.

— OK!

— Ale mnie bolą nogi, chyba narzuciłaś zbyt szybkie tempo.

— Bo ja lubię szybko — odpowiadam.

To chyba nie najlepszy czas, żeby mu tłumaczyć, że lubię być pierwsza, lepsza, bardziej wytrzymała, silniejsza. Rywalizacja dodaje mi sił. Zwłaszcza rywalizacja z własnymi słabościami.

Resztką sił dojeżdżam do domu Mateusza. Boli mnie wszystko, każdy mięsień. Jestem szczęśliwa, bo po raz kolejny przesunęłam granicę swojej wytrzymałości.



Lekarz kieruje mnie na oddział. Zawożą mnie na wózku inwalidzkim do trzyosobowej sali. Czuję się coraz gorzej. To pewnie dlatego, że się denerwuję. Przychodzi lekarka, żeby pobrać mi płyn mózgowo-rdzeniowy.

— Niech pani usiądzie — beznamiętnie wydaje polecenia. — Plecy proszę wygiąć jak kot.

— OK — odpowiadam — ale proszę pomóc mi usiąść, bo sama nie jestem w stanie.

Lekarka patrzy na mnie odrobinę zdziwiona.

Pomaga mi usiąść na łóżku, ale nie mogę zrobić kocięgo grzbietu. To znaczy zrobić mogę, ale długo w tej pozycji nie wytrzymam. Wyginam plecy.

— Proszę się teraz nie ruszać!

To jest dla mnie niewykonalne. Mięśnie się mnie nie słuchają, puszczają po trzech sekundach.

— No dobrze, zrobimy inaczej, niech się pani położy. Pani Kasiu! — lekarka zwraca się do pielęgniarki. — Niech pani przytrzyma pacjentce nogi.

Długa igła wbija się w przestrzeń między kręgami. Nic nie czuję. Jestem przerażona wiotkością swoich mięśni. Przecież zgarbienie pleców nie jest takie trudne. Co się ze mną dzieje?

— Jak długo trzeba czekać na wynik? — pyta Mateusz.

— Około trzech godzin.

To długo. Okropnie długo.

— Pani doktor, co to może być? — pytam. — Lekarz na izbie przyjęć wspominał o jakimś zespole.

— Na razie bardzo trudno jest mówić o diagnozie. Poczekajmy na wynik.

— Ale jak długo muszę tu zostać? — dopytuję.

— Proszę być cierpliwą.

— Ale jak długo? — Nie odpuszczam. — Jakieś wi-
delki może pani podać?

— Jeśli jest to zespół Guillaina-Barrégo, to absolutne
minimum wynosi dwa tygodnie, ale raczej około trzech
miesiący albo i dłużej.

— A jeśli to nie ten zespół? — pytam, bo od począt-
ku taka diagnoza mi się nie podoba.

Nie wiem, co to za choroba. Nigdy o niej nie sły-
szałam. Może to coś z kręgosłupem? Wiem, że mam zbyt
konsumpcyjne podejście do życia i do choroby: zespół
Guillaina-Barrégo się nie podoba? Ha, ha! Nie mam
na niego ochoty! A macie państwo może coś krótsze-
go? Grype? Zapalenie płuc? W ostateczności może być
nawet ciąża.

Lekarka zastanawia się, jak łagodnie odpowiedzieć na
to pytanie.

— Powiem tak — mówi — miejmy nadzieję, że to
tylko zespół Guillaina-Barrégo.

Wychodzi. Zostaje razem z mężem. Czekamy. Cier-
pliwie. Staramy się nie rozmawiać o tym, co będzie.

Mateusz jedzie do domu po moje osobiste rzeczy —
pidżamkę, szczoteczkę do zębów, książki. Przychodzi
pielęgniarka.

— Pani miała robioną punkcję? — pyta zdziwiona.

— Tak!

— To nie powinna pani głowy trzymać na poduszce!
Głowa musi leżeć płasko, równo z kręgosłupem!

— Nie wiedziałam, nikt mi nie powiedział... Jestem
tu pierwszy raz...

— Nie może pani chodzić przez kilka godzin, koniecznie trzeba leżeć płasko, bo inaczej może pojawić się tak zwany zespół popunkcyjny.

— Jaki znowu zespół? — denerwuję się, bo ile zespołów można mieć naraz.

— Popunkcyjny.

— Aha. Czyli?

— Ostre bóle głowy, nudności...

Świetnie. Taka mało istotna informacja, której nikt mi nie udzielił.

Po chwili przychodzi salowa.

— Muszę tu posprzątać, może pani wyjść?

— Nie mogę, miałam punkcję.

— Aaa, to ja panią razem z łóżkiem wywiozę na korytarz.

Dzień pierwszy w szpitalu — już stoję się meblem. Na korytarzu podchodzi do mnie jakaś pacjentka.

— Ojej, jaka pani młoda — mówi z żalem. — Niech się pani nie martwi, jutro będzie pani mogła chodzić, pierwszy dzień po punkcji jest trudny.

Mijają trzy godziny. Łóżko wraca na salę. Wraca też Mateusz. Super, przyniósł mi mnóstwo książek. Nadrobię zaległości. Ale na razie nie mam ochoty czytać. Denerwuję się. Może jutro?

— Idź, zapytaj się, wyniki już powinny być — proszę Mateusza.

Zostaję sama w sali. Sama, nie licząc dwóch pacjentek. Ale one są mi obce. Ja nie lubię obcych. Nie będę z nimi spała. Chcę do domu!

Dzwoni do mnie Monika.

— No cześć, co słyhać? Nie ma cię na Gadu-Gadu.
— Jestem w szpitalu
— Boże, co się stało?!
— Nic. Tracę siłę w nogach. Czekam na diagnozę. Jestem przerażona. Podobno mam tu zostać trzy miesiące. Czujesz?
— Masakra!
— A moja praca? A dziecko? Przecież ja nie mogę!
— Nie martw się pracą, Mateusz przyniesie ci laptopa i będziesz pracowała w szpitalu.
— Fakt, to jest jakiś pomysł! Biuro w szpitalu.
Wraca Mateusz.
— Jeszcze nie ma wyników.
Przecież lekarka mówiła, że za trzy godziny będą... W naszej służbie zdrowie to chyba norma. Czekamy kolejną godzinę. Znowu zostaję sama w pokoju. Mateusz idzie porozmawiać z lekarką.
Wydaje mi się, że nie wraca zbyt długo. Pewnie jeszcze z nią rozmawia. Może usłyszał diagnozę? Złą wiadomość. Teraz musi się uspokoić przed przyjściem do mnie. Boże, może ja umieram? Tak, to by się zgadzało. Siła moich mięśni zmniejsza się z godziny na godzinę. Nie chcą mi powiedzieć, na co jestem chora.
Moje rozmyślenia przerywa Mateusz.
— Jeszcze chwilę musimy poczekać.
— Na pewno? Nic ci nie powiedzieli?
— Nic.
Rzeczywiście, po chwili przychodzi lekarka.
— Badanie potwierdziło, że to zespół Guillaina-Barrégo.